

## **Kaja Różycka**

### ***kONrad***

Reflektory nigdy wcześniej nie wydały mu się tak intensywne. Miał wrażenie, że światło zaraz wycisnie łzy z jego oczu i czuł perlące się na twarzy małe kropelki potu. Kątem oka spostrzegł, że koledzy schodzą za kulisy. Został na scenie sam.

Wdech – wydech.

Czuł, że musi się uspokoić i skoncentrować; inaczej nie warto zaczynać. I chociaż nie mógł doczekać się tego momentu od kilku miesięcy, teraz wydawało mu się, że nadszedł on zbyt szybko. Spokój. Potrzebował spokoju.

Wdech – wydech.

Rozejrzał się po widowni. Wszyscy musieli wiedzieć, jaka scena właśnie nadeszła, bo ich twarze zastygły w niemym oczekiwaniu. Niektóre wydawały się zafascynowane lub po prostu zaciekawione, inne patrzyły na niego z zawiścią. Część z nich rozpoznał. Przymknął oczy... Przecież to nieistotne.

Wdech – wydech.

Przełknął ślinę. Opróżnił głowę z niepotrzebnych myśli. Istniał tylko On.

*Jestem Nim. Nic innego się teraz nie liczy. Jestem Nim.*

„Samotność – cóż po ludziach, czym śpiewak dla ludzi?! Gdzie człowiek, co z mej pieśni całą myśl wysłucha,/ Obejmie okiem wszystkie promienie jej ducha?”

*Jestem Nim. Jestem niepowtarzalnym twórcą. Nie rozumieją mnie, ale to jest bez znaczenia. Albowiem jestem niepowtarzalnym twórcą.*

„Uzucie krąży w duszy, rozpala się, żarzy,/ Jak krew po swych głębokich, niewidomych cieśniach”

Było jedyne w swoim rodzaju – gorące i wartkie. Niczym tlen rozprzestrzeniało się po całym jego ciele, wnikało w głąb każdej komórki, każdego mięśnia i organu. Przeszył go dreszcz.

„Wam, pieśni, ludzkie oczy, uszy niepotrzebne; –/ Płyńcie w duszy mej wnętrznościach”

Musiały usłyszeć jego zaproszenie, ponieważ to niesamowite doznanie wypełniło go jeszcze bardziej, jeszcze dokładniej, stając się jednocześnie intensywniejsze.

„Ty Boże, ty naturo! dajcie posłuchanie. –/ Godna to was muzyka i godne śpiewanie. –/ Ja mistrz!/ Ja mistrz wyciągam dłonie!/ Wyciągam aż w niebiosy i kładę me dłonie/ Na gwiazdach jak na szklanych harmoniki krągach”.

Kiedy podniósł ręce, jego uwagę skupiły wpijające się w nadgarstki mankiety koszuli. Dłonie mocno mu spuchły, a żyły napęczniały. *Nie czujesz tego. Teraz jesteś Nim.*

„Milion tonów płynie; w tonów milionie/ każdy ton ja dobyłem, wiem o każdym tonie”. I czuł je. Naprawdę czuł je wszystkie. Był twórcą i odbiorcą każdego z osobna.

Starał się nie myśleć o dziwnym mrowieniu w dłoniach.

„Boga, natury godne takie pienie!/ Pieśń to wielka, pieśń – tworzenie./ Taka pieśń jest siłą, dzielność,/ Taka pieśń jest nieśmiertelność!”.

Nieprzyjemne uczucie w dłoniach przybierało na sile, więc zerknął na nie. Spuchły jeszcze bardziej. Właściwie to wydawało mu się, że nieco się wydłużyły. Były nieproporcjonalnie duże względem przedramion, a mankiety opinały się na przegubach tak mocno, że lada chwila mogły się rozerwać.

„Ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę,/ Cóż Ty większego mogłeś zrobić – Boże?”. *Jestem Nim, a Bóg nigdy Mu nie dorówna. Nie dorówna Mnie.* Ta myśl nie była szczególnie zaskakująca. Tak jakby od dawna to przeczuwał.

Nagle nacisk na nadgarstkach zelżał. Guziki obu mankietów odpruły się i poleciały w głąb sceny. Jednocześnie usłyszał szew pękający gdzieś pod prawą pachą.

*Jestem Nim. Nie słyszę tych dźwięków. Nie czuję tego .*

„Kocham was, Me dzieci wieszcie!”.

Naprawdę czuł, że był Nim. Nie udawał. Szczerze czuł niezwykłą miłość do wszystkiego, co stworzył. I nie przestawał mówić, a wszystko, co mówił, było prawdą.

„Depcę was, wszyscy poeci,/ Wszyscy mędrcy i proroki,/ Których wielbił świat szeroki”. Słabo Mu się zrobiło na myśl o wszystkich, którzy nabrali się na ich tanie sztuczki. Dla tak wielu stanowili autorytet. Autorytet. Śmieszne. Byli zaledwie pośrednikami. Nie zasłużyli na taką pamięć. *Ja zasługuję. Jestem prawdziwym artystą, wrażliwym i samodzielnym. Nie ograniczam się do pośrednictwa. Zasługuję na wielkość. Jestem wielki.*

Buty okropnie Go uwierały, szczególnie w małe palce. Cały kostium Go uwierał, jakby nagle skurczył się o kilka rozmiarów. Lada chwila wszystko pęknie.

„Dziś poznam, czym najwyższy, czyli tylko dumny;/ Dziś jest chwila przeznaczona”.

*Tak naprawdę już wiem. Znam odpowiedź.*

„I mam je, mam je, mam – tych skrzydeł dwoje;/ Wystarczą: – od zachodu na wschód je rozszerzę;/ Lewym o przeszłość, prawym o przyszłość uderzę”.

Znowu poczuł mrowienie, tym razem w okolicach łopatek. Nie mogąc się powstrzymać, obejrzał się przez ramię. Nie widział skrzydeł, ale je wyczuwał. Wiedział, że gdyby zechciał, naprawdę byłby w stanie objąć nimi w tym momencie cały czas świata. Jeszcze nigdy nie czuł się tak wszechmocny.

Od napiętych do granic możliwości spodni odpruł się guzik. Ubranie zaraz popękało w udach i na klatce piersiowej. Stopy, które nie były już w stanie zmieścić się we wnętrzu butów, zaczęły – nie bez przeszywającego bólu – przebijać się na zewnątrz. Ale był w stanie całkowicie ignorować jakiegokolwiek cierpienie. Był Nim.

„I dojdę po promieniach uczucia – do Ciebie!/ I zajrzę w uczucia Twoje,/ O Ty! o którym mówią, że czujesz na niebie”.

*Bój się Mnie, Boże. Albowiem jestem Nim. A On już dawno Cię przejrzał. Za chwilę się zobaczymy.*

Całe Jego ciało stawało się coraz większe. Wszystkie szwy spodni albo już się doszczętnie popruły, albo trzymały się na ostatnich nitkach, które miały za chwilę pęknąć. Na dodatek nogawki sięgały Mu zaledwie do połowy łydek. W przedramionach koszula składała się z dwóch zupełnie niepołączonych ze sobą pasów materiału, rękawy oderwały się od reszty ubrania, a w okolicach bicepsów i klatki piersiowej tkanina wyłącznie cudem pozostawała na swoim miejscu. Z przodu butów wystawały Jego bosa stopy, które wcześniej musiały przebić się przez skarpetki oraz noski obuwia. A jednak nigdy nie czuł się tak dobrze, tak potężnie i spokojnie jednocześnie.

„Ja kocham cały naród! – objąłem w ramiona/ Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia”. Rozłożył szeroko ręce i zauważył, że są już dwa razy dłuższe – rozpiętość Jego ramion prawie równała się połowie sceny. *To po to, by wszystkich was w nich pomieścić.*

Spojrzał w górę – przez sufit, chmury i atmosferę, przez granicę sfer profanum i sacrum. Spojrzał prosto w twarz Boga. Ten jeszcze Go nie zauważył, ale to nie potrwa długo.

„Jam się twórcą urodził:/ Stamtąd przyszły siły Moje,/ Skąd do Ciebie przyszły Twoje,/ boś i Ty po nie nie chodził”.

Jego głos był zbyt cichy, nie mógł dotrzeć do Nieba. Wiedział, że musi urosnąć jeszcze bardziej. Dużo bardziej. Był o jakieś dwa metry wyższy niż w momencie rozpoczęcia monologu. Za mało. Musiał rosnać dalej.

„Tylko ludzie skazitelni,/ Marni, ale nieśmiertelni,/ Nie służą Mi, nie znają – nie znają Nas obu,/ Mnie i Ciebie”.

*Przecież wiesz. Nie oszukuj sam siebie. Wiesz, że nie jestem mniej wartościowy od Ciebie. I wiesz, że Ja również zasługuję na władzę. Tutaj jestem. Spójrz mi w oczy i porozmawiajmy jak równy z równym.*

Bóg chyba nareszcie Go wyczuł. Jego twarz przybrała nieznacznie zirytowany wyraz.

„Chcę czuciem rządzić, które jest we Mnie;/ Rządzić jak Ty wszystkimi zawsze i tajemnie”.

*Słyszysz? Chcę rządzić. Tak jak Ty.* Udało się. Spojrzał w dół, na Niego. Zaledwie na ułamek sekundy, ale to wystarczyło, by wiedział, że Bóg jest już świadomy Jego obecności.

Głową sięgał trzech czwartych wysokości sceny. Koszula zakrywała Mu już tylko połowę brzucha. Rękawy, całkowicie rozprute, bezszelestnie opadły na podłogę. Podobnie spodnie i bokserki. Buty rozplątały się w połowie, zniknęły prawie całe pod Jego stopami.

„Jeśli Mnie nad duszami równą władzę nadasz,/ Ja bym Mój naród jak pieśń żywą stworzył,/ I większe niżli Ty zrobiłbym dziwo,/ Zanuciłbym pieśń szczęśliwą!”.

*Ja jeden ich rozumiem i cenię. Ja jeden wiem, że zasługują na więcej niż otrzymali od Ciebie. Dlaczego każesz im tak żyć?! Nie zasłużyli na to. A ty nie zasłużyłeś na taką władzę.*

„Daj Mi rząd dusz!”.

Teraz musiał już mówić wystarczająco donośnie, ponieważ Bóg gwałtownie zwrócił głowę w Jego stronę. *Kiedy ostatnio słyszałeś ludzki głos, Boże? Kiedy ostatnio widziałeś człowieka? Kiedy ostatnio zszedłeś do niego?*

Bóg patrzył Mu prosto w oczy oburzony Jego impertynencją, jakże charakterystyczną dla tej wielkiej skazy na jego doskonałości – ludzi.

Teraz do sufitu brakowało Mu nieco ponad metr. Koszula już z Niego opadła; strzępy kostiumu leżały niepotrzebne na podłodze. Stał na scenie zupełnie nagi, z każdą chwilą coraz wyższy i większy.

„Bo jestem nieśmiertelny!”.

Kolejne kilkadziesiąt centymetrów.

„Najwyższy na niebiosach!”.

Dosięgnął głową stropu. Rósł w takim tempie, że musiał się zgarbić, by zmieścić się w wysokości sceny.

„Ciebie tu szukałem,/ Ja najwyższy z czujących na ziemnym padole./ Nie spotkałem Cię dotąd – żeś Ty jest, zgaduję”.

Przycisnął głowę do mostka, tak, że barkami dotykał teraz sufitu.

„Niech Cię spotkam i niechaj Twą wyższość uczuję –/ Ja chcę władzy, daj Mi ją, lub wskaż do niej drogę!”.

Jego stopy lekko zapadły się w parkiet pod wpływem naporu pochodzącego od sklepienia. Jednocześnie nacisk wywierany na strop stale rósł wraz z Jego ciałem.

„Ja chcę mieć władzę, jaką Ty posiadasz./ Ja chcę duszami władać, jak Ty nimi władasz”.

Poczuł, jak sufit zaczyna się wgniatać i załamywać. Napierał coraz mocniej i mocniej. Z całego sklepienia zaczęły sypać się drzazgi i pył. Drewno okropnie skrzypiało pod naciskiem, które wywierało Jego rosnące ciało. Wreszcie z jękiem desek, belek i gwoździ przebił się przez sufit. W końcu mógł się wyprostować.

Rósł coraz szybciej. Jego barki już bez żadnej trudności znalazły się ponad nieistniejącym sklepieniem. Nawet nie spojrział na zaskoczonych ludzi na piętrze. Ponownie skupił się na Bogu, który patrzył na Niego osłupiały. Jego szeroko rozwarłe oczy patrzyły w niemym zdumieniu na rodzącego się giganta. Tymczasem On nie przestawał rosnąć. Uśmiechnął się z satysfakcją.

„Milczysz, milczysz! wiem teraz, Jam Cię teraz zbadał./ Zrozumiałem, coś Ty jest i jakieś Ty władał”.

Widział, że minął szok. W Bożych oczach powoli kielkowała obawa.

„Kłamca, kto Ciebie nazywał miłością./ Ty jesteś tylko mądrością”.

Obawa przerodziła się w lęk. *Ja wiem. Wiedziałem cały czas. Myślałeś, że możesz oszukiwać całą rasę, cały świat, i nikt nie zauważy? Że wszyscy będą zawsze Cię kochać albo ignorować Twoje istnienie?*

Bóg milczał.

*Powiedz wreszcie prawdę! Chociaż raz. Zasłużyliśmy na to. Służymy Ci od wieków, wielbimy Cię, wystawiamy Cię, dzięki Ci składamy, a Ty... Ty milczysz.*

„Jeszcze raz Ciebie wyzywam./ Jeszcze po przyjacielsku duszę Ci odkrywam./ Milczysz, – wszakżeś z Szatanem walczył osobiście?”.

Na Boskiej twarzy strach mieszał się ze wściekłością i niedowierzaniem.

„Wyzywam Cię uroczyście”.

Czuł, że już niedługo ich szanse będą wyrównane. Budynek teatru sięgał Mu w tej chwili może do pasa. Kilka sekund później do połowy ud, do kolan. Z każdą chwilą miasto malało w dole. Bóg nadal tylko patrzył. I milczał.

„Nie gardź Mną,/ Ja nie jeden, choć sam tu wzniesiony./ Jestem na ziemi sercem z wielkim ludem zbratan,/ Mam Ja za sobą wojska, i mocy, i trony”.

To nie była czcza groźba. Gdy wypowiedział te słowa, uświadomił sobie, że czuje moc, która nie może pochodzić od Niego samego. Przepełniała Go potęga, jakiej wcześniej nie posiadał nikt śmiertelny. Był najpotężniejszy na świecie. Śmiało spoglądał Bogu prosto w oczy.

„Jeśli Ja będę bluźnierca,/ Ja wydam Tobie krwawszą bitwę niżli Szatan:/On walczył na rozumy,/ Ja wyzwę na serca./ Jam cierpiał, kochał, w mękach i miłości wzrosłem”.

*I dalej rosnę. A kości Moje z trupów Mego ludu, krew Moja z jego cierpień, mięśnie Moje z siły jego, skóra Moja z jego wytrwałości i serce Moje z miłości Mojej do ludu Mego.*

W tym momencie głową przebijał się przez chmury. I dalej, i wyżej, i głębiej.

„Teraz duszą Jam w Moją ojczyznę wcielony?/ Ciałem połknąłem jej duszę,/ Ja i ojczyzna to jedno”.

Czuł ją w sobie. Każde z miliona istnień. Toczyły go jak robaki. Ich cierpienie dodawało Mu sił. Ich miłość zagrzewała Go do walki. Coraz szybciej i szybciej wkraczał w kolejne warstwy atmosfery.

„Cierpię, szaleję – a Ty mądrze i wesoło/ Zawsze rządysz,/ Zawsze sądzisz,/ I mówią, że Ty nie błędzisz!”.

Dostrzegał granicę trzeciego nieba. Już niedaleko. Mogłaby się wydawać nie do przekroczenia dla żyjącego, ale wiedział, że Jemu się powiedzie.

Jego głowa, równie duża co Ziemia, znalazła się w sferze sacrum. Wreszcie mógł zobaczyć Jego, Boga, tak naprawdę, w pełnej okazałości.

Lekko się zawiódł. Bóg tylko patrzył na Niego – milczący, wściekły, zdumiony i przerażony.

„Milczysz! – Jam Ci do głębi serce Me otworzył./ Zaklinam, daj Mi władzę – jedna część jej licha;/ Część tego, co na ziemi osiągnęła pycha,/ Z tą jedną cząstką ileż Ja bym szczęścia stworzył!”.

Widział w oczach Boga, że zaczynała Go ogarniać coraz większa wściekłość, wręcz furia. Tymczasem robaki pod Jego skórą ruszały się coraz szybciej i intensywniej, jakby chciały wyrwać się na zewnątrz i same rozprawić się z tym wielkim oszustem. Sprawiało Mu to ból, ale dzięki niemu nie dawał się ponieść ogarniającemu go zewsząd uczuciu wszechmocy i nie zapominał, dlaczego przyszedł do Boga. Żeby się zemścić. Za wszystkie te istnienia, które wily się wewnątrz Niego, a które zostały oszukane, wykorzystane,

maltretowane, zgwałcone i porzucone. Jego również ogarniała furia, jednak o wiele większa niż Boska, o wiele groźniejsza. Boga wściekała ludzka zuchwałość; Jego wściekała Boża ułomność w miłości. Miał wrażenie, że pędraki w Jego wnętrzu zaraz rozedrą na strzępy wszystkie kości, narządy, mięśnie, tkanki, żyły i tętnice.

„ODEZWIJ SIĘ – BO STRZELEŃ PRZECIWIW TWĘJ NATURZE”.

Jego głos, głos wszystkich Jego istnień, dudnił w całym wszechświecie.

„JEŚLI JEJ W GRUZY NIE ZBURZĘ,/ TO WSTRZĄSNĘ CAŁYM PAŃSTW TWOICH OBSZAREM”.

Przepelniała Go moc tak wielka, że czuł się wypychany przez nią od środka. Czuł, jak naród zamknięty w Jego ciele zostaje od środka wciśnięty w Jego skórę i w siebie nawzajem.

„BO WYSTRZELEŃ GŁOS W CAŁE OBRĘBY STWORZENIA;/ TEN GŁOS, KTÓRY Z POKOLEŃ PÓJDZIE W POKOLENIA...”.

Wiedział, że Jego siła w tym momencie tysiącokrotnie przewyższała Boską. Wiedział, że był najpotężniejszy. Ogarnęła Go ekstaza. Jego głos wypełniał każdy zakamarek Wszechświata, trafiał w każde ucho – żywe, martwe i jeszcze nienarodzone. Był wszechmocny. Był wielki. Był o wiele więcej niż Bogiem. Moc coraz bardziej Go napełniała. Do granic możliwości.

Gdy skończy mówić, Jego głos jeszcze długo będzie odbijał się echem po różnych czasach i światach. „KRZYKNEŃ, ŻEŚ TY NIE OJCEM ŚWIATA, ALE...”.

Puffff... Pękł.

Ale co to były za oklaski.